

MS 41/70
CZESŁAW PIENIAŻEK

ooo

O LEKCEWAŻENIU OJCZYSTej MOWY

W ZAKOPANEM
NAKŁADEM KSIĘGARNI L. ZWOLIŃSKIEGO
1913.

CZESŁAW PIENIAŻEK

ooo

O LEKCEWAŻENIU OJCZYTEJ MOWY

W ZAKOPANEM
NAKŁADEM KSIĘGARNI L. ZWOLIŃSKIEGO
1913.

75a2

S3b8

423696

I

K-78/11541
M.8. 30,-



Członek paryskiego Towarzystwa etnograficznego, Emil Hervet, pisząc w r. 1869 o Sewerynie Duchińskiej (*Relation sur les travaux de Madame Duchńska*), powiedział, że o ile język francuski zasłużył na to, aby stał się językiem salonu i dyplomacyi, o tyle polski język powinien być językiem salonu i poezyi.

Cortembert, sekretarz owego Towarzystwa, wysłuchawszy polskiego przekładu ludowych pieśni francuskich, wyraził się: „Pieśni ludu francuskiego nabrały w polskim przekładzie energii i siły, których im wyrazistość polskiego języka użyczyła“. Henryk Martin mawiał, że Polaków już sam język skłania do nabożności, bo nadaje się najbardziej ze wszystkich, jakie zna, do wyśłowienia najszlachetniejszych uniesień ducha. Marquis de Noailles powiedział, że gdyby Polki wiedziały, jak są piękne, mówiąc własnym językiem, nie mawiałyby nigdy po francusku.

Panna Joanna Buffet, nie wyjeżdżając wcale z Francyi, nauczyła się po polsku tak dobrze, że mówi zupełnie biegle, tłumaczy pisarzy polskich i doprasza się szczerze, aby do niej po polsku pisywano. Kocha Polskę całą duszą, a pokochała ją tylko przez język. Przeczytała Mickiewicza i Krasińskiego w przekładzie francuskim; to ją zbliżyło do naszego narodu i zaciekało. Zbliżyła się do naszej emigracyi paryskiej. Słyszając raz polską mowę, na jakimś zgromadzeniu wypowiedzianą, tak się zachwyciła dźwięcznością, siłą i wyrazistością brzmień polskich, że zabrała się do nauki naszego języka.

Przed czterdziestu laty poznałem w Dreźnie pannę Grossmann. Byliśmy w gronie czysto polskiem, mówiła po polsku, jakby rodowita Polka. Ze zdumieniem usłyszałem potem z jej własnych ust, że jest Niemką, w Dreźnie urodzoną i wychowaną, a po polsku nauczyła się jedynie dlatego, że jej nasz język, bogactwem słownictwa, prawdziwie zaimponował. Opowiedziała mi, jak to było. Przez lat kilka przebywała w Królestwie, jako nauczycielka języka niemieckiego i nie myślała o tem, aby uczyć się po polsku.

Skłoniła ją do tego rzecz na pozór drobna. A to poprosiła pewnego razu, aby jej przetłumaczono wyraz „pfeifen“. Zdziwiła się niezmiernie, gdy jej wymieniono trzy odcienia tego czasownika, a to: gwizdać, gwizdnąć, gwizdywać, tudzież czasownik pokrewnego znaczenia: świstać, świstnąć, świstywać. Ze zdumieniem spostrzegła, że w niemieckim języku takiego wyrazu niema. Również zastanowiła ją obfitość zdrobniałych i zgrubiałych rzeczowników. Owe „gwizdać, gwizdnąć, gwizdywać“ stały się dla Grossmannówniej pierwszą podniętą do tego, aby się zabrać do wyuczenia polskiego języka. Czytywała też po polsku wiele, a nie tyle dla treści dzieła, ile dlatego, „aby doznawać przyjemności, rozkoszując się bogactwem słownictwa, prostotą i jasnością w układzie myśli“, jak to sama mówiła.

Za dawnych czasów, kiedy w kraju naszym niemieckie były szkoły, zajmował w tarnowskim gimnazjum posadę profesora matematyki, Niemiec Schrei. Przez lat kilka wśród Polaków przebywając, poduczył się cokolwiek po polsku, a poznawszy nasz język, wyrażał się często, że pojąć mu trudno, dlaczego Polacy tak skwapliwie, tak chętnie

mówią cudzymi językami, skoro polski jest tak piękny i bogaty, iż przewyższa tem bogactwem i tą pięknnością niemiecki.

Nie pamiętam już, czy to sławny Max Müller, czy Leskin miał powiedzieć, że gdyby potęga polityczna narodów zawisała od bogactwa języka, to Polacy powinni być pierwszą w świecie potęgą polityczną.

Przytoczyłem kilka przykładów, choćby ich przytoczyć można tysiące. Tak cenią nasz język Francuzi i Niemcy, a my jak go cenimy?

Głośny drukarz, wydawca w Krakowie, Hieronim Wietor, Niemiec z Wiednia, powiada w przedmowie do jednej z polskich książek, które wydawał: „Wszelki naród inny język swój miłuje, szerzy, krasi, a tylko sam polski naród mową swą gardzi“. Było to w r. 1521.

Czy dziś inaczej? Gardziliśmy językiem swoim, zwiąc go przed wiekami „mową pospolitą“, gardzimy nim i dziś, a jeżeli nie gardzimy, to go za mało cenimy.

Czy potrzeba, czy nie, popisujemy się chętnie znajomością języków obcych. Pomi-
jam już tę śmieszność prawdziwą, jaką jest dawny nałóg mówienia po francusku w sa-

lonie czysto polskim. Pomijam, bo już na szczęście ten nałóg zanika i dziś jeszcze tylko saloniczki, mało poważne i mało poważane, dopuszczają się tej nedorzecznosci, ale wszędzie czynimy ustępstwa: służbie dróg żelaznych, komisantom, nawet przybędom niemieckim. Nie zdarzyło mi się spotkać Polaka, któryby jadąc do Wiednia, domagał się aż po Bogumin, aby z nim służba po polsku mówiła. Przeciwnie: od Krakowa począwszy, na całej przestrzeni kolei Północnej, sam się każdy z niemczyzną wyrywał, aby się przed konduktorem pochwalić, że umie po niemiecku. Natomiast nie zdarzyło mi się nigdy, abym słyszał Czecha mówiącego po niemiecku na przestrzeni krajów korony św. Wacława.

Lada komisant, lada jaki agent handlowy zjawi się u nas, a na myśl nie wpadnie nikomu domagać się, aby po polsku z nami mówił. Sami nawet zaczynamy od niemczyzny.

Było to w Czerniowcach. Siadam do fiakra z synem zacnego patrioty, posła na Sejm bukowiński, najdzielniejszego przedstawiciela polskości na Bukowinie. Ów syn patrioty daje fiakrowi zlecenia po niemie-

ku. Zdziwiony pytam towarzysza, dlaczego nie mówi po polsku?

— Ej, tu u nas taki zwyczaj.

— Ależ to zwyczaj chyba niegodziwy.

— Cała inteligencja mówi po niemiecku.

— A zatem dobrowolne zrzekanie się godności narodowej, i dobrowolne oddawanie w niewolę duchową napływu niemieckiego?

— A, to nie, tylko przyzwyczajenie. Przytem, widzi pan, wygodnie mówić po niemiecku, bo każdy zrozumie.

— Ależ i po polsku będzie rozumiał, skoro się przekona, że z tego będzie korzystał.

Zagadałem też zaraz fiakra po polsku i zupełnie poprawnie mi odpowiedział.

Taż sama historia w hotelu i restauracyi, gdzie mój towarzysz ze służbą po niemiecku się rozprawiał, a ja po polsku, zaś służba i dobrze i chętnie po polsku odpowiadała.

Jakie tego następstwa? Oto przykład. Byłem świadkiem naocznym, jak pewien fabrykant w Wiedniu godził agenta handlowego. Agent powiada, że zna język niemie-

cki, czeski, węgierski, ale po polsku nie umie i do Galicyi jechaćby nie mógł.

— A co tam polski język — rzecze na to fabrykant — tego pan wcale nie potrzebuje. W Galicyi każdy będzie z panem mówił po niemiecku, lub po francusku, bo Polak, chociaż nawet nie umie obcego języka, to bodaj udaje, że go rozumie. Co innego Węgrzy, Czesi, ale Polacy są... bardzo grzeczni.

Tem się też tłumaczy to niezwykle zjawisko, iż żydzi przez tyle wieków zatrzymali na ziemi naszej zepsutą mowę niemiecką. Jeszcze dziś spotykamy ludzi, co z żydami nie chcą inaczej mówić, tylko po niemiecku, zapewne z wielkiej... grzeczności.

Ośmieszamy się wobec obcych. Pamiętam w r. 1876. płynąłem statkiem parowym na Dunaju, z Bazias do Budapesztu. Statek przepelniony podróżnymi rozmaitego rodzaju. Węgrzy, Turcy, Serbowie, Niemcy, Anglicy, wszyscy mówili swoimi językami. Wśród podróżnych byli państwo K. ze wschodniej Galicyi z rodziną. Oczywiście, jakżeby polski szlachcic z Podola mógł rozmawiać z żoną i dziećmi po polsku? To byłoby „w złym tonie“. Więc po francusku paplali

zawzięcie. Raz przy obiedzie powiada jakiś Niemiec do swego towarzysza, wskazując na państwo K.:

— Jakaś francuzka rodzina.

— Ależ nie; to Polacy. Przysłuchiwałem się; ona wymawia jako tako, ale on rąbie tylko.

— A jakże wiesz, że to Polacy?

— Francuzami nie są, co poznać z wymowy. Gdyby to byli Włosi, Anglicy, Węgrzy, Czesi, Hiszpanie, to mówiliby własnym językiem, a że nie będąc Francuzami, mówią ze sobą po francusku, to jasne, że to Polacy. To już dziwna natura Polaka, że wstydzi się swego języka, a wszędzie francuskim popisuje. Dziwny to naród. U nich wiele pychy, a mało poczucia godności narodowej.

Nie wymyśliłem tego, to autentyczne. Niestety, to choroba, co ogarnia cały naród. Maciek wrócił z wojska, lub był na zarobku „na Saksach“. Jaki dumny z tego, gdy woła na konie: „zurück“, zamiast nazad, gdy powie: „kabał“, „anzug“, „szejrować“, „sztyfle“ i t. d.

Jacenty, woźny magistratu w Krakowie, przychodzi do żydowskiego sklepu i rzecze:

— „Geben zy myr stempel eine Krone“.

Słucham zdumiony i pytam:

— Czy wy Niemiec?

— Ej, nie, proszę pana, Polak.

— A czemuż po niemiecku mówicie?

— A bo kupiec izraelit.

Pan Jan z pod Chwaniowa przyjeżdża do Sanoka.

— Panie Mendel, habe hundert korec haber zu verkaufen.

Oczywiście, jakżeby pan Jan z pod Chwaniowa mógł sobie ubliżyć, okazując przed kupcem zboża nieznajomość języka niemieckiego, lub niechęć do obcej mowy.

Hrabia Józio wchodzi we Lwowie do księgarni Seyfarta i Czajkowskiego (było to około r. 1875) i rźnie po niemiecku.

— Co pan za figle wyprawia? — zapytałem hrabiego Józia.

— Jakto? jakie figle?

— Niemiecka rozmowa w polskim handlu, w polskim mieście, toć to chyba żarty.

— A, a — nie żartowałem. Proszę pana, jak takiemu kupcowi mówić? Przecież mu nie powiem „panie“, bo nie należy do towarzystwa, a „ty“ powiedzieć mu także nie

mogę, więc najlepiej po niemiecku, bo to tak wygodne niemieckie „Sie“.

Pani Laura załamywała ręce z rozpacz, że jej siedmioletnia córka tak „źle pronon-suje“ po francusku, ale nie martwiła się tem wcale, że dziecko pacierza nie umiało.

A skoro już mówimy własnym językiem, to wykrzywiamy go radzi, przykrawamy na obcą modłę, łapiemy zwroty mowy z obcych języków i wciskamy je do swego. Czynimy to dla „szyku“, dla „dobrego tonu“, niekiedy z bezmyślności, najczęściej z lenistwa. Jedno, drugie, trzecie wyrażenie obce rzuci ktoś w salonie, czy na bruku, najczęściej w dziennikach, i już je powtarzamy, za leniwi — by rozważyć, że owo wyrażenie jest właściwie w polskim języku niedorzeczne.

Gdy się takich zwrotów mowy namnoży, powtarzamy je uporczywie, skłonni do małego naśladowania, a za leniwi, by się zastanowić i poszukać w myśli właściwego, polskiego wyrażenia. Gdy nam błąd kto wytknie, zasłaniamy się frazesem: „Tak wszyscy mówią, taki zwyczaj“.

Ależ to nie argument. Jeżeli w mieście wybuchnie choroba nagminna, czyli epide-

nia, to wysilają się i lekarze i władza, aby ją stłumić. Jeżeli więc powstanie epidemia szkaradzenia języka, to ją również tłumić należy. Nikt przecież nie powie: „Skoro już tyle osób chorych na dur, to i ja chcę zachorować“.

A właśnie owe zwroty mowy psują język. Obce wyrazy, jeżeli są niezbędne, nie szkodzą mu wcale, a nawet być niekiedy muszą i są w każdym języku. Bywają też niekiedy lepsze od rodzimych, źle ukutych. Lepszy przecież parasol, niż deszczochron, lepsze pantofle, niż cichołazy, lepsza apteka, niż lekotwornia, lepsze kalosze, niż błotostępy. Niema języka, któryby obcych wyrazów nie przybierał; stają się one jego sługami, niewolnikami.

Natomiast naginanie toku myśli do obcej modły, wciskanie w mowę zwrotów nie swojskich, jest nie tylko skażeniem języka, ale co gorsza: oddawaniem się dobrowolnem w duchową niewolę obcych. Jeżeli zatracimy własny sposób układania i wyrażania myśli, a przybierzemy obcy, toć będziemy z myśli i ducha Niemcami, Francuzami i t. d.

W języku niemieckim, francuskim, włoskim, w każdym wogóle, napotkamy dość obcych wyrazów, ale ani Niemiec, ani Francuz, ani żaden inny cudzoziemiec nie ugnie swej myśli przed myślą cudzą, nie potoczy jej obcym szlakiem.

Czyby też znalazł się Niemiec, któryby pod wpływem polskiego języka powiedział: „Ich fuhr auf dem Pferde in die Stadt; auf dem Horne der Gasse stand mein Pferd Eiche, und ich fiel ins Pulver?“

Natomiast tysiące Polaków powie bez zająknienia: „Przyszedłem do przekonania, że mi z tego nic nie przyjdzie, więc co ja za to mogę“. Nawet nie zastanowią się, że to wyrazy polskie, ale mowa niemiecka, po polsku bowiem powiedziećby musieli: „Przekonałem się (lub: nabrałem tego przekonania), że mi się to na nic nie przyda (albo: że mi nic po tem), więc cóż temu jestem winien“.

Nie wiem, czy jest drugi język na świecie, w którym byłoby tyle obcych zwrotów mowy, co w naszym. Nie wiem, czy jest naród na świecie, któryby się tak lekko-myślnie wyrzekał właściwych cech i znamion swej mowy, któryby tak bez godności

poddawał się obcemu sposobowi układania myśli. Nie wiem, czy jest naród na świecie, któryby tak leniwie, tak ociężale dźwigał one chwasty w języku swoim, a tak upornie trwał przy nałogu powtarzania wszystkiego, co się usłyszy.

Wzięliśmy od Niemców „przychodzenie“ do wszystkiego.

„Przyszedł do przekonania“. (Po polsku: przekonał się, zyskał to przekonanie, nabrał tego przekonania).

„Przyszedł do majątku“. (Po polsku: zebrał majątek (oszczędnością), zyskał majątek (przemysłem), dorobił się majątku (pracą)).

„Przychodzi mi to łatwo“. (Nabywam tego z łatwością, nie sprawia mi to trudności).

„Co mi z tego przyjdzie?“ (Co mi po tem, na co mi tego).

„Przyszedł do zdrowia“. Jakież to śmieszne! Czemu nie przyjechał? A gdzież ono mieszka? (Po polsku: wyzdrowiał, odzyskał zdrowie).

„Powstały nieporozumienia i przyszło do wojny“. Czemu nic nie przyjechało? No, o co też to do owej wojny przyszło?

Aha! To znaczy, że wojna „wybuchła“! I dlaczegoż nie powiedzieć odrazu, a jasno i wyraźnie?

Czyśmy też pomyśleli, jakie to wyrażenia niedorzeczne? Żeby do majątku przyjść można, toćbyśmy wszyscy byli bogaci, co zdrowe nogi mamy.

„Zrobić“ znaczy po polsku tyle, co wykonać jakiś przedmiot z jakiegoś materiału. Szewc zrobił trzewiki ze skóry, stolarz sprzęt z drewna. My atoli, oddawszy się w niewolę duchową obcym, po niemiecku:

robimy egzamin, chociaż po polsku egzamin się zdaje;

robimy przykrość, gdy po polsku przykrość się wyrządza. (Wyrządza się: przykrość, krzywdę, a sprawia się: przyjemność, niespodziankę, radość. Czy to tak trudno o tem pamiętać?).

Robimy wrażenie, chociaż Polak wywiera wrażenie, sprawia je, albo czyni.

Mamy tyle wyrażeń własnych, jak: sprawiać wrażenie, wywierać, czynić, a rzucamy je na śmietnik, aby udawać Niemca, czy też pokłonić się pokornie niemieckiemu układowi myśli:

To nic nie robi. (Das macht nichts). A przecież tak łatwo sobie zapamiętać wyrażenia własne: „to nic nie szkodzi“, „to drobnostka“.

Ktoś „zrobił wielkie oczy“. Można by sądzić, że tu mowa o malarzu, co na portrecie za wielkie oczy wymalował. A po polsku tak jasno, tak prosto i tak poważnie wyrazić się można w rozmaity sposób, jak oto: „Zdumiał się“, „osłupiał“, „owładnęło go zdziwienie“.

Zrobił smutną minę! zamiast „zasmucił się“, „sposepniał“.

Zrobił wielki kawał drogi. Można by mniemać, że mowa o inżynierze, robiącym, czy budującym drogę, a to zniemczały Polak chciał powiedzieć, że „uszedł, lub ujechał wielki kawał drogi“.

Zrobił studia, zamiast: „odbył“.

Zrobił tern o, zamiast „wygrał“.

Zrobił łaskę. Z czego zrobił? Trzeba powtórzyć, że „zrobić“ znaczy: wykonać jakiś przedmiot z jakiegoś materiału, a łaski nie robi się chyba ani z żelaza, ani ze skóry, gdyż łaskę można tylko „wyświadczyć“.

Stać w drodze (Im Wege stehen), zamiast „zawadzać“.

Stoi w sprzeczności! Ależ: „sprzeciwia się“.

Wystawił świadectwo! A gdzie? Czy za oknem, czy położył za drzwiami? Chyba „wydał świadectwo“.

Stawiać pytanie, zamiast: „zadać“.

„warunki, zamiast: „kłaść“.

„wniosek. Z tem bieda wielka, bo i posłowie niekiedy, a dziennikarze zwykle wnioski „stawiają“. Jakżeby inaczej, skoro po niemiecku: „Antrag stellen“, a po polsku mówi się: „Poseł X. uczynił wniosek“.

Postawiono go w stan oskarżenia. Chwast wyrosły w czasach, gdy przywykli do niemieckiego urzędowania sędziowie, zaczęli po polsku urzędować. Należy się wyrażać: „oskarżono go“, lub „poddano oskarżeniu“.

Postawił mnie w przykrem położeniu. Jakież bo to niedorzeczne, chociaż niemieckie! Jakże można „postawić“ w „położeniu“? Jeżeli go postawiono, toć nie leży, a jeżeli kazano mu zająć „położenie“, toć go położono — a nie postawiono.

A przecież rozumniej po polsku: „Naraził mnie na przykrość“, „wprawił mnie w kłopot“.

Najuporczywiej wyrasta na zagonach dziennikarskich „małpi chwast“, „*bezmyslicum gazetnicum*“, w postaci wyrażenia:

Przynosi wiadomość (bringt die Nachricht). I pocóż to zastanawiać się i po polsku napisać, skoro panu dziennikarzowi, czyniącemu wyciągi z dzienników niemieckich — łącniej powtórzyć za panią matką: „N. F. Presse“ bringt die Nachricht“. Panie dziennikarzu! wyrządzasz krzywdę językowi. Czy to tak trudno zapamiętać, że po polsku mówi się i pisze: „Zawiera wiadomość, podaje, umieszcza“.

Przekład z języka dziennikarskiego na polski. W języku dziennikarskim: „Telegramy przynoszą bliższe szczegóły o katastrofie, która zaszła w sobotę“. Po polsku: „Telegramy zawierają dokładniejsze szczegóły o katastrofie, która się wydarzyła w sobotę“.

Po dziennikarsku: „Doszli do przekonania, że przyjdzie rzecz do skutku, gdy go do zdrowia przywróca“. Po polsku: „Przekonali się (nabrali prze-

konania), że się rzecz spełni, gdy go wyleczą, (gdy odzyska zdrowie)".

Po dziennikarsku: „Trzeba sanację stosunków przeprowadzić“. Po polsku: „Trzeba poprawę stosunków dokonać“.

Po dziennikarsku: „Rząd zawezwie od wypadku do wypadku różnych urzędników“.

Po polsku: „Rząd powoła w razie potrzeby (gdy się konieczność nasunie, co jakiś czas), różnych urzędników“.

Przynosi mi korzyść. Kto? w czym? w koszyku, czy w płachcie na plecach? Po polsku mówi się: „Mam z tego korzyść“, „korzystam z tego“, „to dla mnie korzystne“.

Czyn ten przyniesie owoce. Nie słyszano jeszcze, żeby drzewo owoce przynosiło. U nas w Polsce drzewo owoce „wydaje“, a więc i „czyn ten wyda owoce“.

Trzyma mowę. Za uszy? może za czuprynę? Jakie to głupie, chociaż niemieckie. Po polsku: „Wypowiadać mowę, wygłaszać, mieć mowę“.

Trzyma lub gra pierwsze skrzypce, zamiast: „przewodzi“, „rej wiedzie“.

Trzyma go w szachu. „Trzyma go na wodzy“.

Jestem przeszkodzonym! Biedny! tak mu ktoś szkodził, że go aż przeszkodził, podobnie, jak: solił, przesolił; bił, przebił itd. Ależ dobrodzieju, nikt cię nie „przeszkodził“, jeno „doznałeś przeszkody“.

Jestem cierpiącym. Może też powiesz kochany panie: „jestem siedzącym“, „jedzącym“, kichającym“ itd. A toż zrozumiałej powiedzieć wprost: „coś mi dolega“, „doznaję cierpienia“, „jestem niezdrów“, „jestem słaby“.

Nie jestem w stanie tego wypowiedzieć. Co to znaczy? Jestem w stanie gruby, albo cienki, co ważne dla krawca, gdy bierze miarę na suknie. Ot, po papuziemu plecie się za Niemcem: „Ich bin nicht im Stande“, zamiast wyrazić się uczciwie i mądrze po polsku: „Nie zdołam, lub nie mogę tego wypowiedzieć“.

Jestem w prawie. Jestem w błocie, w piasku, w wodzie, na to zgoda, ale jak można „być w prawie“? Czy to nie łatwiej mówić po swojemu: „mam prawo“?

Jestem w tem miłym położeniu, że mogę panu przyrzec. Czy tylko

„leżąc“ możesz uczynić owo przyrzeczenie, a do tego wtedy, gdy ci leżeć „miło“? Ależ to niegrzecznie przemawiać „leżąc“. Możebyś raczył pamiętać, że miewamy zwykle cnotę „grzeczności“ i zamiast się kłaść przydawaniu przyrzeczeń, może lepiej powiedzieć poprostu: „Bardzo mi to miło, że mogę panu przyrzec“.

Nie był w możliwości. Znowu niedorzeczność. Czemuż nie powiedzieć jasno, po polsku: „nie mógł“, „nie zdołał“ „nie wypadło mu“.

To jest nie do uniknienia. Po polsku: „Tego nie można uniknąć“.

To jest do zrobienia. Po polsku: „To należy zrobić“.

To jest do przebaczenia. Po polsku: „To można wybaczyć“.

To również niemieckie były chwaściki. „Ist nicht zu vermeiden“, „das ist zu machen“, „das ist zu verzeihen“.

Natomiast francuski chwaścik salonowy, ulubiony u przesadnie udających elegancję:

Znajduję, że, zamiast: „Widzę, spostrzegam, sądzę, zdaje mi się“. Jak można znajdować to, czego nikt nie zgubił?

Ten młodzieniec zdradza wielki talent. A cóż to za niegodziwiec, że zdradza swój talent, że mu się sprzeniewierza, a przez to w niwecz obraca, a przynajmniej nie korzysta z niego. Zdaje mi się atoli, że ów młodzieniec: „okazuje“, „objawia“ wielki talent.

Talent zapoznany. Z kim się zapoznał? Może to talent „niedoceniony“, „nie oceniony należycie“.

Zaprzysiągł świadków sędzia powiatowy. Straszna rzecz! Czyż to się go-dziło? Zapewne ukarała go za to władza zwierzchnicza. Ktoś jadł, aż się zajadł; ktoś pił, aż się zapił; kogoś bito, aż go zabito. Sędzia tak zniewolił świadka do przysięgania, aż go biedaka zaprzysiągł. Ej, może to sędzia „odebrał przysięgę“ od świadka? Zapewne, że tak być musiało.

Przy wojsku, przy piechocie, przy starostwie itd. Przy wojsku jest tylko kucyk, co wozi duży bęben kapeli, ale żołnierz jest w wojsku, komisarz w starostwie.

Wolne miejsce, chyba: nie zajęte.

Wolny bilet. Zapewne: bezpłatny.

Wprowadzić w życie. Polak nie

zdolny zrozumieć takiej zawilosci myślenia i mówi: wykonać.

To prowadzi do złego. Prowadzi rolnik krowę na targ, prowadzi ojciec dziecko do szkoły, myśliwy prowadzi psa na smyczy, bo ani rolnik krowy, ani ojciec dziecka, ani myśliwy psa nie pytają o to, czy chcą, czy nie chcą iść i dokąd chcą się udać. Ale w Tatrach nie ma przewodników, jeno przewodnicy; w pacierzu powtarzamy: nie wódz nas na pokuszenie, a nie „prowadź“, bo tu sprawa z wolą naszą. Dlatego też „to wiedzie do złego“, „to wiedzie do celu“, a nie prowadzi.

To jest na czasie. Czysto niemieckie. Po polsku: na to pora.

Od czasu do czasu. Powszechnie powtarzana niedorzeczność, z niemieckiego pochwycona. Po polsku: „co pewien czas“, lub: „kiedy, niekiedy“.

Jak długo, tak długo. Również bezmyślnie powtarzany zwrot niemiecki, chociaż mamy polskie: „dopóki, dopóty“.

W danym razie. Czy komu przez plecy raz zadano? E, to niby nasze polskie: „w taki sposób“, albo „w pewnym wypadku“, lub też: „na ten wypadek“.

Spowodować szkodę itd. „Spowodować“ nie można chyba niczego, natomiast: szkodę, krzywdę, przykrość wyrządza się, a sprawia się radość, przyjemność, niespodziankę.

„Zapłaciłam posadzkę“, chwali się gospodyni przed mężem. Struchlał! Co to będzie? Ba! nie dziw, bo miał się czego przerazić. X. zapłacił brodę. Z. zapłacił las. Jeden i drugi zostawił swobodę przyrodzie! Rośnie broda, rośnie las. Gospodyni zapłaciła posadzkę, toć znaczy, że pozostawiła ją bez opieki, bez szczotki. Co tam zbierze się pyłu, śmieci! Miał się mąż czego przerazić! Wyjaśniło się dopiero, że gospodyni „zaprawiła“ posadzkę, a nie zapłaciła.

Porozumienie w dalekim polu. Żywcem po niemiecku. Dlaczego owo porozumienie nie schowało się do lasu? Mogło być w dalekim lesie, albo też na dalekiej górze. A po polsku tak jasno: „daleko jeszcze do porozumienia“.

Straż ogniowa. Cóż to za dziwny kraj, który tworzy strażę od ognia. Na czymże tam gotują? Czyż tylko surowizny jadają? A zapewne zimy tam nie znają, i mieszkań opalać nie potrzebują? U nas

w Polsce bywają straże pożarne, które od pożaru strzegą, ale ognia rozniecać nie zabraniają. Ale jakżeby też Polak mógł samodzielnie myśleć? Ot, dobrowolnie idzie w niewolę duchową Niemca i powtarza niemieckie: „Feuerwehr“.

Dziecinne ubranie. A to ciekawe ubranie, które posiada właściwości dziecka, a więc szczebiocze, kaprysi, przymila się, bawi się lalką lub batożkiem. Jeżeli mowa o ubraniu, dla dziecka przeznaczonem, to należy powiedzieć: „ubranie dziecięce“.

Miejsca stojące, siedzące. Ciekawe to widowisko, spoglądać na miejsca, które stoją, lub siedzą. Oczywiście, jakżeby Polak nie powtarzał bezmyślnie za Niemcem: „Stehende Plätze“? Atoli w Polsce bywają miejsca „dla stojących“, „dla siedzących“.

„Już więcej tego nie uczynię, już więcej do ciebie nie przyjdę“. A może „mniej“ przyjdzie? I tu niemczyzna: „ich werde schon nicht mehr kommen“. W polskiej mowie owo „więcej“ zupełnie zbyteczne; wystarczy samo „już“.

Jeden z dzienników pisze: „Lakoniczne te wieści znajdują wytłomaczenie

w liście“. Co za szczęście, że w liście „znalazły“, że tego wytłomaczenia ktoś z listu nie wyjął. I po co to pleść takie bzdury, skoro po polsku tak jasno powiedzieć można: „List te wieści tłumaczy, wyjaśnia“.

Światopogląd. „Weltanschauung“. To już wprost karygodne! Czemu porzucać własny „pogląd na świat“?

Prócz chwastów, zawianych w nasieniu z obcych pól na polski zagon, pojawiać się zaczynają chwasty rodzime, zaszczepiane skwapliwie, zwłaszcza w Warszawie.

Wzorować się, zamiast: „brać wzór z kogoś, lub z czegoś, naśladować“. Jeżeli się „wzorują“, biorąc wzór, to się też „przykładują“, biorąc przykład.

Walki przekonaniowe grają rolę. Cóż to za dziwoląg wstrętny dla polskiego ucha ów przymiotnik „przekonaniowy“! A owo „granie roli“, tak często powtarzające się, zwłaszcza w dziennikarstwie, jest przenośnią i niedorzeczną i już tak spłowiałą, a tak płytką, że należałoby już raz ją wyrzucić na śmietnik, jak dawne „Mości dobrodzieju“. Czyż nie poważniej, nie jaśniej powiedzieć, że to i owo „ma wielkie znaczenie“, niż „gra rolę“? Owo „granie

roli“ nie jest chwastem, nie jest błędem, ale płytkim, zużytym, nadużytym, niesmacznym frazesem.

Oświatowy. Nie nazwę tego przymiotnika chwastem; może to potrzebna roślina. Gramatykarze wydadzą o tem wyrok, zdaje mi się atoli, że ów „oświatowy“ podobnie się przedstawia, jak: „stratowy“ (od: strata), „chatowy“ (od: chata), „zapłatowy“ (od: zapłata) i t. d. Na szczęście mowy naszej takie dziwolągi nie pojawiły się jeszcze, ale nasuwa się obawa, że się pojawiają, jeżeli „oświatowy“ żyć będzie.

„Zapoczątkowana przez Piotrkowskie Towarzystwo rolnicze, wystawa rolnicza“.

Owa „zapoczątkowana“, to dziwoląg równie wstrętny dla ucha, jak i niedorzeczny. Jeżeli zaś została „zapoczątkowana“, to zapewne będzie „zakńczowana“. Czy ubolewać, czy śmiać się?

A o tej „zapoczątkowanej“ wystawie piszą bardzo poważne, może najpoważniejsze dzienniki polskie. Czy też napiszą o „zakńczowanej“?

Jest to zaledwie setna część tego, co bezmyślnie powtarzamy, czem psujemy język, czem zatracamy samoistność myślenia.

Wyrządzamy tem krzywdę nietylko językowi, ale indywidualizmowi narodowemu. Wyrządzamy tem krzywdę podobną do tej, jaką wyrządzają ludzie lekkomyślni, co obcym ziemię sprzedają. A bolesne, bardzo bolesne, żeśmy w tem uparci, zawzięci.

Bywają ludzie uparci i zwykle przytem śmieszni, niekiedy nawet zabawni. Bywają też uparci i źli, uparci i leniwi, tacy i owacy, a zawsze upór sprzęga się z jakąś wadą, sam po świecie nie chadza. Powiedział Słowacki narodowi, że jest pawiem i papugą, to niby, że pyszy się, nadyma, a bezmyślny. Nie wiem, czy się kto pogniewał na wieszczka, że tak surowo naród swój osądził; nie pogniewał się, bo wieszcz prawdę powiedział. Pychy w nas wiele, godności niekiedy mało; bezmyślność, skojarzona z lenistwem, wżarła się w dzieje nasze, wdziera w życie, łamie wielkie zdolności narodowe, psuje serca, szerzy ubóstwo. A uparci jesteśmy przytem i mało czynimy wysiłku, aby się pozbyć i bezmyślności i lenistwa. Nie bardzo się kwapimy, w myśl Krasieńskiego „dobrymi czynami samych zbawić siebie“.

Przypatrzmy się spokojnie, cierpliwie, co też się dzieje z mową ojczyzną?



Psujemy ją, kaleczymy, lekceważymy, a czynimy to z uporem zaciętym. Wszelkie zabiegi, aby nakłonić do przestrzegania czystości języka, rozbijają się o upór wprost zbrodniczy. Istnieje pismo „Poradnik językowy”; stworzył je i wydaje wielce zasłużony w literaturze Roman Zawiliński, dyrektor gimnazjum w Krakowie. Wykazywali błędy Parylak i Passendorfer; przed czterdziestu laty jeszcze Skobel, Majer i Kremer. Prócz tych, pracowało wielu innych nad oczyszczeniem języka, a cóż z tego? W potocznej mowie popełniamy błędy bez upamiętania, dzienniki nasze zawzięcie sypią wstrętnymi germanizmami i szerzą zarazę po kraju. Z tych, co przestrzegają czystości mowy, zwykle natrzęsamy się, a bodaj dziwimy, że nam głowę suszą niepotrzebnie. Zdaje nam się zwykle, że to rzecz drobna, rzecz obojętna: tak, lub owak się wyrazić i w głowie się nam pomieścić nie może, jakoby takie lekceważenie mowy było wprost zbrodnią narodową. A jest nią, bo zaciera cechy i znamiona indywidualizmu narodowego, bo oddaje nas w dobrowolną niewolę duchową obcym narodom.

Rzecz dziwna! My starsi, cośmy nawet katechizmu uczyć się musieli po niemiecku, co pamiętamy „Sprachzeichen, (przymus mówienia po niemiecku w szkole) których bito, gdy się zwali Polakami, a nie Galicyaninami, my starsi posiadamy więcej czci dla ojczystej mowy, więcej miłości i lepiej nią władamy, niż to młodsze i młode pokolenie, co już w polskich szkołach naukę pobierało. Dlaczego?

Powiadają, że minister hr. Beust wyraził się niegdyś, gdy ważyły się sprawy autonomii dla naszego kraju, w te słowa: „Polakom można dać wolność jak największą bez szkody dla jednolitości państwa, bo dopóty kochają wolność i ojczyznę, dopóki jej nie mają. A jak zmarnowali niegdyś i wolność i ojczyznę, tak zmarnują je zawsze, gdy je uzyskają“. Czy to prawda, że Beust tak powiedział, tego nie wiem, ale to prawda, że nie znać u nas działania szkoły polskiej i polskich nauczycieli. Nie winna to szkoły i nauczycielstwa, jeno ogólnie naród. Jesteśmy narodem marnotrawnym! Marnotrawimy też jedyny skarb narodowy: cudną mowę naszą!

Zdarzało mi się, że nawet ludzie bardzo poważni, zawzięcie bronili owych naleciałości z obcych języków, rozmaitych nowotworów, uporczywie dowodząc, że język żyje, więc przetwarza się, rozwija organicznie. Nie przeczę. Język żyje, rozwija się i rozwijać powinien, ale co innego rozwój organizmu, a co innego osiadające na nim pasorzyty. Drzewo rośnie, rozwija się, ale je w sadzie chronimy od pasorzytów i robactwa. Ciało ludzkie żyje, ale gdy na niem brodawka wyrośnie, toć ją usuwamy skwapliwie.

A owe „przychodzenia“ do majątku, do przekonania, do wojny“, owe germanizmy, które przytoczyłem, toć to brodawki na ciele, toć to robaciwo, lub pasorzyt na jabłoni.

A przykro, boleśnie, że takie brodawki, takie robactwo, takie pasorzyty, spotyka się często, zbyt często nawet w książkach do nauki szkolnej przeznaczonych.

Są stowarzyszenia rozliczne; istnieje przeciw dręczeniu zwierząt. Niechże powstanie stowarzyszenie, czuwające nad czystością języka. Prezesem niech będzie w niem miłość ojczyzny, sekretarzem czujność kobiet, członkami cały naród.

Oby nie znalazł się już jakiś nowy Wietor, Niemiec, coby śmiał mówić: „Wszelki naród język swój miłuje, szerzy, krasi, a tylko sam polski naród mową swą gardzi“.



30
71817
Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000275837



I 423696

16p

